Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 30. Poznań, dnia 27. Lipca. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Völkerschau auf Reisen
von Theodor Mundt, Iter Band, Stuttgard 1840.

Literatura, że ją tak nazwę, podróżowa, jest u zagranicznych jedną z najobfitszych. Podróżowało wielu, i niemal każdy opisywał co widział, choćby tylko dla własnego zadowolenia i pamięci. Pisarze z professyi uważali podróże jako nowy zasiłek umysłu; inni jako probę pisarską, z którą tak łatwo było popisać się przed publicznością, bo szło tylko o spisanie tego, co się widziało. Wszystkie atoli te dzienniki, opisy, wspomnienia podróżujących poszły w niepamięć. Przekonano się, że nowość kraju, ludów, zwyczajów i saméj przyrody, może ciekawić i zachwycać oko widza, ale skreślenie tego wszystkiego dla tych, co tego nigdy nie widzieli, słabe tylko a najczęściéj mylne daje wyobrażenie. Nie pozostały więc z całych księgozbiorów podróżowych, jak tylko te dzieła, które albo pod względem geograficznych i statystycznych wiadomości, dla uczonych jaką miały wartość, albo awanturowania się różnego rodzaju na wzór Robinsona Crusoe lub Beniowskiego, bawiły młodsze, ciekawe takich powieści umysły.

Robiono w ogólności ten wniosek, że tylko podróże i wyprawy za morza do odległych krajów i ludów w inne nieznane części ziemi, których cywilizacya albo jeszcze jest w stanie natury, albo do dawnych odnosi się wieków, ciekawémi być mogą dla czytelników; pobliższe europejskie narody traciły urok przez samą tę bliskość. Ztąd poszło, że mieszkańcy zachodniéj części Europy lepsze mieli wiadomości o Chinach i Negrach, niżeli o wschodnich swoich sąsiadach; że w Polszce znano Francyą i Włochy, ale najbliższe Niemcy były *terra incognita*. I tak niedawno jeszcze temu, jak wspomina Wiszniewski, kiedy biskup Kossakowski jadąc do wód karlsbadzkich, odkrył przypadkiem naród, mówiący bardzo podobnym do polskiego językiem, w Warszawie słuchano go z zadziwieniem, jak niegdyś Krzysztofa Kolumba na dworze Izabelli.

Ten stósunek się zmienił, kiedy podróż zaczęła być rozumująca, uczuciowa, poetyczna; kiedy nowość rzeczy i życia stała się tłem do rozwijania na niém indywidualnych pojęć, podnietą uczuć, zadumy po nad kolebką albo grobem narodów, po nad obrazem wielkości i zniszczenia; nadewszystko kiedy celem podróżującego nie było zdejmować wizerunki ziemi, okolic i mieszkańców, ale zdejmować myśl zawieszoną na przeszłości pamiątkach, objawioną zwyczajami i życiem ludów, rokującą przyszłość dziejów. W ten czas naturalnie wyższy wznioślejszy obudził się interes. Nie była to, że tak rzekę, historya naturalna, ale fizyologia podróżowa; nie opisy farb, ale obrazu z farb złożonego, w którym więcéj zachwyca myśl szczytna malarza niżeli wykonanie. Ziemia zamieniła się na scenę, widoki na niéj na kulisy, a podróżny pisarz wśród nich wystawiał czytelnikom drama życia ludów. Rzecz jasna, że pod tym względem kraje oświecone i historyczne Europy stały się ciekawsze, niżeli dzicz środka Afryki lub wyspiarzy południowego morza. Najnowsza epoka zrodziła dopiero tę reformę, któréj może podróż sentymentelna Sterna i poezye podróżowe Byrona dały początek. Poszli za nimi Lamartine, Chateaubriand, Boerne, Heyne i Mundt. U nas, rzekłbym, ta sama także kolej w literaturze podróżowéj, choć bardzo ubogiéj. Sonety krymskie Mickiewicza więcéj uroku rzuciły na owe krainy stepowe, więcéj upowszechniły znajomość góry Dżadyrdachu, niżeliby to były dokazać mogły najwierniejsze owych okolic opisy. Lach-Szyrma w przypomnieniach swoich podróży do Anglii i Szkocyi odbytéj, już się zastanawiał nad duchowémi postaciami narodów, już nie opisywał kraju, jak Lineusz roślinę, ale dochodził jéj własności, docieka przyczyn fizyologicznych, uważał przydatności. Jednakowoż nie pojmował jeszcze rozciąglejszego podróży znaczenia. Gdy z Dover wracał

do Calais, gdy skała Szekspirowska, zkąd widok i zachwyt na przestwor rozhukanego morza nawet go rymem natchnęły, — znikł zupełnie z oczu, i niebawem z kamiennéj grobli, gdzie przybijał do lądu, inne głosy się odezwały, inne ukazały fizyognomie, inne i tak różne obudzające wspomnienia — powiada po prawdzie: «w podróżach nie ma nic ważniejszego nad wjazd z jednego kraju do drugiego: dzieje i losy graniczących z sobą narodów obudzają tyle obfitych wyobrażeń, a czasem i wzniosłych uczuć. Tu byłoby miejsce na skreślenie podobieństwa i różnicy tych dwóch sąsiedzkich i ciągle sobie zawistnych ludów»; ale, dodaje mylnie, «to wychodzi za obręby podróży.» Nie pomniał autor, że przez różnicę i podobieństwo najwydatniéj cechuje się naród, że w Child Haroldzie Byrona podobne miejsce w pierwszéj pieśni, gdzie maluje i wywodzi nienawiść sąsiadujących z sobą Portugalczyków i Hiszpanów, jest jedno z najpiękniejszych tego poematu. Jaka jest różnica w świeżém dziele pani R. z domu Gedroic «Wspomnienia z Francyi», choć je kobiece kreśliło pióro! Jest to czysty dramat życia społecznego, obrazy żywe, bo uchwycone w chwili żywota, który z nią przeminął i nie wróci, a odbity na piśmie, jak w zwierciedle, zachowa się dla współczesnych i potomnych, z całą świeżością czasu, w którym był układany.

Otóż tego gatunku są podróże naszego autora, zaszczytnie już znanego w tym rodzaju piśmiennictwa. Jego Spaziergänge und Weltfahrten, wyszłe w trzech tomach w Altonie, mające za przedmiot głównie Paryż i Londyn, są to raczéj obrazy oświaty nowoczesnéj, zdjęte z miejscowości, z ludzi i z dziejów; malowidła życia ludu i osób w pięknym i jasnym kolorycie, choć może pod względem myśli więcéj nadobne, niż wzniosłe. Brak autorowi tego genialnego rzutu na całość, tego potoku myśli, co przenika i wziera w ukryte i ciemne tajnie ducha. Dla tego więcéj jest powierzchowny, niż głęboki, więcéj obrazowy i poetyczny, niżeli wzniosły i filozoficzny.

Takiém jest także pismo na wstępie przytoczone, dla nas jeszcze tém bardziéj zajmujące, że autor i Polskę wybrał za przedmiot podróżnych uwag swoich. Chciał on widać poznać życie narodów, nie z opisów, ale żyjąc między niemi, patrząc im twarz w twarz. Jak lekarz, litujący się nad cierpieniem ludzkości, spieszy z własnego powołania do uleczenia niemocy, stawa nad krajem jak nad łożem chorego, chwyta za pulse ludy, wpatruje się w ich oblicze, ogląda nawet odchody, i bada, wnosi, jakie są jeszcze siły żywota, jaka nadzieja wyzdrowienia. Umiłował on kraj nasz, zakochał się w karakterze narodu, uszanował go w nieszczęściach jego i dawnéj świetności. Wiedział, że tu pomoc lekarska za późna, ale jakby stojąc nad zamarłem ciałem przyjaciela, przykłada rękę do serca, czy choć słabego nie doczuje tętna, przykłada zwierciadło do ust, czy go choć mdły oddech nie owionie.

Lecz nie uprzedzajmy rzeczy. Autor wprowadza nas najprzód do południowéj Francyi, tak różnéj pod względem myśli i usposobienia od północnych Francuzów. W czterech obrazach, z miast Nismes, Montpellier, Marseille i Toulon zdjętych, daje piękne rysopisy karakteru i życia południowych mieszkańców. Raz po raz uchyla zasłony dziejów, i pokazuje w perspektywie to przeszłość ubiegłą, to politykę i stan obecny; każdy przedmiot o tyle mu ważny, o ile w styczności zostaje z duchem postępu i ogólnych dziejowych interesów. Oddać trzeba świadectwo autorowi, że w téj mierze ma talent zajmującego i pouczającego przedstawiania rzeczy. Z wizerunków południowéj Francyi damy na próbę następujący przekład o więźniach galerowych w Tulonie.

«Przystań Tulońska przedstawia jeszcze inne pod względem moralnym ważne widowisko. Jest tu arsenał, będący zarazem więzieniem wskazanych na galery. Obecnie liczba tych nieszczęśliwych wynosi 3000, ale ma często dochodzić do czterech tysięcy. Wszyscy obleczeni w czerwone siermięgi równego zakroju, a u nóg pobrzękują im ciężkie kajdany. Używają ich do rozmaitych prac i robót w przystani i w arsenale, porówno z innymi robotnikami, od których się kolorem sukni wyróżniają. Jedni dźwigają belki, inni rzną piłą drzewo, ciosają, taczkują, kręcą liny, pracują przy budowli okrętów; inni wiosłują, murują i t. p., według tego, do czego kto ma składność i siły, albo czém szedł w dawniejszym zawodzie życia. Wydatne każdego rysy. W tym steku ludzi dostrzeżesz porówno i najszlachetniejsze oblicza i najodraźliwsze. Jest to okropny widok, jednym rzutem oka objąć wszystkie zbrodnie skazy i obmierzłości rodzaju ludzkiego, wypiętnowane na trzech tysiącu obliczach! Wszakże są między nimi i szlachetne, niewinne dusze, ci, którzy w obec prawdy i Boga zasłużyli sobie może na wieniec nieśmiertelnego żywota, a według urządzeń tego świata uznani za zbrodniarzy, wskazani zostali na galery. Są i tacy, których występek nie był jeszcze zbrodnią, i kara tak sromotna nie była w stósunku ich winy. Ale po największéj części zbrodnia tych ludzi tu sprowadziła; wyraz ten: z b r o d n i a, na ich ogorzałych czołach, jakby wielkiemi literami wypisany; grzech śmiertelny wycisnął się na rysach ich twarzy i nasępił

oko i oblicze, jakby cieniem zaćmienia. Ktoby nie wierzył, że grzech w człowieku osobnym jest żywiołem, co w nim żyje własném życiem, w nim samodzielnie rusza się i działa; że leży w duszy człowieka zarodem, co rośnie i wzmaga się jak roślina, jeżeli go człowiek wolą lepszą nie wykarczuje; — ten niechaj zajrzy do téj wielkiéj jaskini łotrów, gdzie zbrodnia już rozkwitła i owoce wydała, a zbrodniarz w niesłychanych cierpieniach duszy o jéj bytności świadczy. U wszystkich, tak rozmaitego usposobienia zbrodniarzy jest jedna i ta sama siła, co ich do zbrodni powiodła, i to dowodzi jéj osobnego przyrodzonego bytu. Tu ojcobójca do taczek przykuty, tam w kuźni młody jakiś skazaniec, co w wściekłości żonę swoją zagardlił, owdzie potwór chuci zwierzęcéj, kazirodca własnego dziecka! Jeden w drugiego tak wygląda, iżbyś rzekł, że człowiek ten wzrosł zbrodnią, że ona była rzemiosłem jego, że tak musiał i tak powinien działać, z porządku i prawa występkiem skażonéj i owładnionéj duszy, co okiem jego przeziera, rysami twarzy się maluje. Dusza wypalona na węgiel piekielnym ogniem namiętności, w któréj łza wyschła, a z nią wszystkie piękne uczucia serca, wlecze przecież nieugięte życie choć pełne cierpień; i nie upada pod ciężarem prac i każdodniowego znoju. Jaka to musi być siła duszy, jaka moc wzrosłych po niéj korzeni złego! jakiby to był człowiek, jaki karakter, gdyby się było na nim nasienie dobrego przyjęło?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Italiam! Italiam!

Poeta młody — a Włochy tak blisko!
Bierz kij pielgrzymi, zwiedź bogów siedlisko,
I sztuk kolebkę, pomniki i groby,
I Rzym chrześciański, ten posąg Nioby.
Spiesz, spiesz za Alpy, choćbyś nic nie zyskał,
Jak żeś trzydziestu wieków prochy ściskał.

Nie kuś szatanie mową twą zwodniczą,
Nie budź tęsknoty mgłą gór tajemniczą,
Jakby tam za nią raj sielski Tybulla,
Głuchy na dźwięki gineów John-Bulla;
Jakby tam głazy nie były głazami,
Choć tylu wieków mówią językami,

Jakby zbawienie czekało pielgrzyma....?
Prochy i groby! . . . gdzie dziś grobów nie ma?!
A ty mnie jeszcze z duszą rozbolałą
Każesz iść płakać nad przeszłością całą
Rzymskich rozwalin; lub z zbutwiałéj wiary
Podnosić nowe piątro u tyary,
Dostając w zamian grzechu praw ludzkości,
Sto dni odpustu i z katakumb kości.
A może śmieszniéj — bym jak Elgin wtóry
Z fresków, płaskorzeźb ogołacał mury,
I niemi zdobił śniegami zawianą,
Na naszych stepach lepiankę słomianą? . . .

Więc nie chcesz gruzów? — człeka badaj, człeka;
Duch jego w formę troistą tam ścieka:
Religii — niebios błękitnych — umnictwa:
Trzy najspanialsze Italii dziedzictwa!
Bierz kij pielgrzymi; — choćbyś nic nie zbadał,
Jak żeś z krwią Bruta, lub Scewoli gadał.

Marna to wielkość onych bożków Rzymu,
Których sława nie stoi za kłąb tego dymu,
Co się z męczeńskich stosów w górę ciągnął,
Gdy gołąb orły w wóz tryumfu wprzągnął.
A jednak państwo miłości, pokory,
Ma swą purpurę, i swoje liktory;
Wrzącym przesądem, jak słońce równika
Pali śród siesty czaszkę lazarona,
Co pod kolumną rzymskiego portyka
Utracił wolę do życia . . . i kona!
Piękne mi niebo, piękny cud Madony! . . .
Dziwni umnicy: Rafael, Torkwato,
Co swoim pęzlem, swojemi bardony
Ubogacili ziemię tak bogatą,
Dziatwę jéj karmiąc dziewięciu muz mlekiem.
O wy niebaczni! Śród takich pamiątek
Zabyć wam było Romula początek,
Lwim jego wnuków nie nakarmić szpikiem?
Krew bohatyrów byłaby w nich wciekła,
Na wykupienie z Dantowego piekła.
Patrzcie! śnią teraz jak w nudów świątyni,
Duchy ich wstrząsa smyczkiem Paganini,
Improwizator, skoczek, lub kastrata
Wodzą na pasku dawnych panów świata;
O ziemio Bogów, wieszczów i malarzy!
Stopa pielgrzyma ciebie nie znieważy.

Lucyan Siemieński.

Życie sieroty

*przez Stefanią F***.*

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potém, do ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień, dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś, jak dziecko, igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trumnie;
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Księże, kamień bez sądu rzuć prosto do piekła! —

Dziady.

Mróz był ostry — dzień krótki — karnawał huczny i wesoły — karety jeździły jedna za drugą — sklepy pełne kupujących — nosili maski, suknie, ka-

pelusze, czepki, pióra, kwiaty, wszystko co chcesz i co tylko do stroju i wesela potrzebném znajdują.

Z wąskiéj i lichéj uliczki dwoje wyszło ludzi, nieśli prostą zaledwie zbitą trumnę. Nikt nie szedł za nimi, nikt nie prowadził tych reszt śmiertelnych do ostatniéj człowieka siedziby; przechodzący nawet mało zważali na smętny i biedny pogrzeb, niektórzy się gniewali, że zawadzają na drodze, drudzy odwracali oczy, nie chcąc smutnego dostać wrażenia, bo oni szli na zabawę, lub z nadzieją zabawy w myśli. Co za natręstwo takich ludzi spotykać ze śmierci obrazem.

Niektórzy przecie mówili wieczny odpoczynek, ale mało było takich. A przecież to człowiek równy wszystkim na świecie żyjącym, przecież to świat jeden myśli, cierpień i przeznaczenia.

Z małego i lichego domku mała wybiegła dziewczynka i wprost za trumną pobiegła; płakała i szlochała serdecznie, i biegła w tchu za idącymi śpiesznie grobarzami. Wreszcie przyszli na cmentarz i dziecię za nimi przybiegło; postawili trumnę, a mała koniecznie chciała ją otworzyć, mówiąc: że mama śpi, że ją musi obudzić, — że takie zimno, a oni wzięli jéj mamę, i tak z nią uciekają, tak uciekają, że nawet nie ma czasu powstać. — Grobarze odepchnęli ją od trumny i kazali jéj odejść, ale ona odejść nie chce, tylko woła z płaczem: «Mamę mi oddajcie!» Grób był wykopany, grobarz wziął dziewczę za rękę, wyciągnął za cmentarz, zamknął drzwi i wrócił do roboty — bo zimno dokuczało im bardzo, a w domu czekała wieczerza i ogień w kominie. I wpuścili trumnę do grobu, złorzecząc zimnu i zimie — i przysypali zmarzniętą ziemią, tak jak przysypuje rów niepotrzebny najemny dzienny wyrobnik. Ni smutku uczucie, ni śmierci żałoba nie postała w tych poziomych głowach, było to ich rzemiosło, ich zwyczajna praca. Czasem to pomodlili się za zmarłego, jeżeli dostali co od krewnych lub przyjaciół jego, ale grzebać darmo i jeszcze się modlić, toby za wiele było. —

Biedne dziewczę płakało w głos i gwałtem chciało drzwi cmentarza otworzyć — widziała ona, jak trumnę wpuścili, jak ją przysypowali; — krzyczała co sił miała, by oddali jéj mamę. Grobarze nie zważali na nią, skończywszy robotę odeszli od świeżego grobu i drzwi zawarte odemknęli. Dziewczę wbiegło na cmentarz i z płaczem zaczęło ziemię z grobu matki odrzucać. — Jeden z grobarzy wrócił się, porwał dziewczę za rękę, wyprowadził z cmentarza. «Co będziemy robić z tą dziewczyną?» rzekł do towarzysza. «Nie sposób ją tu zostawić, boby zmarzła, gdyż mróz tęgi bierze na noc.» «Zaprowadź ją do szpitala, tam przyjmują podobno dzieci, albo idź z nią do księdza proboszcza i spytaj się, co z nią zrobić.»

Ta druga rada lepszą się być zdała grobarzowi, bo pleban bliżéj mieszkał, a do szpitala bardzo było daleko. Dziewczynka wyrywała mu się ciągle, a zawsze chciała wracać po mamę. Wreszcie przyprowadził ją na plebanią, a ksiądz proboszcz wysłuchawszy go, kazał mu zostawić dziewczę, mówiąc, że ją jutro sam do Siostr miłosiernych odprowadzi. — Skośniała od zimna dziewczynka, pierwszy raz dzisiaj otarła łzy swoje na widok ognia w kominku. — Biedne dziecię miało ręce spuchnięte od mrozu, a twarz od wiatru i płaczu nabrzmiałą. — Pleban, dobry i litościwy człowiek, kazał dać mleka ciepłego, lecz dziewczę nie piło go wcale, postawiło go w kominku, a gdy się trochę ogrzało, wstało, wzięło mleko i z nieśmiałością wyjść chciało.

«Gdzież to idziesz, moje dziecię?» spytał jéj pleban.

«Ja niosę to mleko mamie, bo już dawno nic ciepłego nie jadła, a jeszcze ten, co mnie tu przyprowadził i jakiś drugi wzięli ją z domu i zakopali w ziemię; ja pójdę, odkopię ją i dam jéj tego mleka — to ona wstanie i będzie chodzić znowu, bo już od kilku dni leży i leży zawsze.

«Biedne dziecię, nie chódź, nie, — twoja matka nie będzie piła mleka, ona umarła, już nigdy nie wstanie.» — «Umarła, nie wstanie?» sierotka, chociaż nie zrozumiała tych słów, znów płakać poczęła — «Twoja mama», rzekł pleban, «poszła do nieba i długo widzieć jéj nie będziesz, ale jak będziesz dobra, to ją tam kiedyś zobaczysz w niebie — a tam jest pięknie i jasno, i widno, i tam już nigdy od niéj nie odejdziesz», dziewczę wypiło mleko i usiadło znów przy kominku, i wkrótce potém usnęło głęboko.

Nazajutrz chciała znowu koniecznie iść do mamy, a pleban znowu jéj wczorajsze słowa powtórzył i wziąwszy futro i laskę, a czapkę futrzaną nasunąwszy na uszy, wziął dziewczynkę za rękę i zaprowadził do klasztoru panien miłosierdzia. — Tam powierzył ją poczciwéj zakonnicy, prosząc, by się opiekowała biedną sierotą i zostawiwszy kilka złotych na wsparcie dziecięcia, pożegnał dziewczę, które koniecznie chciało z nim iść do mamy. Długo sierota pojąć tego słowa: umarła! nie mogła; zawsze jeszcze myślała, że mama jéj wróci, lub chciała iść szukać jéj w grobie.

Raz wykopała w ogródku dołek, położyła się tam i chciała, by ją zakopali, mówiąc, że pójdzie za mamą do nieba; to znów widząc raz oświecone okna

dużego pałacu, chciała tam iść, mówiąc: że tam tak jasno, że tam niebo i że tam i mamy swéj poszuka.

* * *

Przed klasztor zajechała kareta. Lokaj wygalowany zszedł z wysokiego koziołka i z uszanowaniem drzwiczki uchyliwszy, pytał o rozkazy. Odebrawszy takowe, zamknął drzwiczki, poskoczył do drzwi zakonnych i zadzwonił. Otworzono drzwi, on poszedł i otworzył karetę; z łoskotem zrzucił potrójne czy poczwórne stopnie, i pani jakaś powolnym krokiem zeszła z karety i do klasztoru się udała.

«Czy można mówić z panną matką?» zapytała furtyanki i zaraz wprowadzona do rozmównicy, tam żądanéj osoby przybycia czekała. W krótce przybyła przełożona, a nieznajoma pani powiedziała jéj, że jest hrabiną N. i że życzyłaby sobie wziąść z między sierot jéj opiece oddanych dziewczynkę jaką do usługi. «Właśnie», mówiła zakonnica, «są teraz przy lekcyi, może pani raczysz się pofatygować na górę i sama wybrać między niemi. Lecz jest szczególniéj jedna, coby może najdogodniejszą pani była. — Jest to sierota, od lat pięciu będąca w klasztorze; nikt dotąd nie pytał się o nią, nawet nazwisko jéj jest nam niewiadome. Przed pięciu laty nieboszczyk ksiądz proboszcz L. przyprowadził ją tutaj nazajutrz po pogrzebie jéj matki; było to małe dziecię, mogące mieć najwięcéj lat sześć lub siedm, z początku nic się uczyć nie chciało, tylko koniecznie chciało iść do mamy. Trzeba było użyć i prośby i groźby, a nawet i kary, by je do nauki zniewolić. Teraz dosyć ma łatwości w nauce i wszystkie prawie prześcigła towarzyszki.» Długie a wązkie stoły zajęte były do koła przez dziewczynki różnego wieku; biednie ubrane i po większéj części chorowite i blade. Na niektórych tylko twarzyczkach dziecinny wiek czerstwość i rumieniec zachował; — jedna z nich z złotem warkoczem na głowie na pierwszy rzut oka między licznemi odznaczała się towarzyszkami. Schyliła głowę nad robotą swoją, lecz gdy skrzypnięcie drzwi nowych oznajmiło przychodniów, wzniosła głowę i piękną ukazała twarzyczkę. Bez żywych na licach rumieńców miała twarz pełną smętnego wyrazu i rzekłbyś, nań patrząc, że albo płakała już dużo w krótkiém życiu swojém, albo dopiero płakać będzie. —

«Zosiu — Zosiu!» zawołała przełożona, wchodząc za hrabiną do szkoły, «chodźno tutaj, Zosiu!»

Dziewczę z złotym warkoczem i smutném wejrzeniem wstało z ławeczki i nieśmiało zbliżyło się do przełożonéj.

«Zosiu», mówiła do niéj daléj zakonnica, «Zosiu, ukłoń się jw. pani». — Otóż to ta dziewczynka, o któréj wspominałam jw. pani. «Zosiu, rzekła do niéj hrabina, głaszcząc ją po twarzy, «ja cię wezmę do siebie, panna matka chwaliła cię przedemną, a ja myślę, że nie zawiedziesz tych pochwał; pojutrze przyszlę tu po ciebie; będzie ci dobrze u mnie, byleś tylko była dobrą i usłuchaną«. Wyszła pani, a Zosia wróciła na miejsce; łzy kręciły się w jéj oczach, sama nie wiedziała, co się z nią stało, nie wiedziała, czego chcą od niéj — nie zrozumiała, co jéj ta pani powiedziała, ale usłyszała, że ma wyjść z klasztoru, i drżała, myśląc, że go opuścić musi.

Biedna Zosia tak mało uciech znała na tym świecie tak smętne były dni pierwszych lat jéj życia, że mizerne istnienie w klasztorze dobrem było dla niéj i strawa sierot ucztą, gdy wspomniała na nędzę i ubóstwo dawne. A potém tam jeszcze mogła mówić czasami o matce, tam pierwsze modły za jéj duszę do Boga posyłała; tam wreszcie wszyscy znajomi jéj byli i ona myślała, że tam zawsze żyć tak będzie i że tam zaśnie na wieki. Myśl ta rozłączenia się napadła nań niespodzianie, i gdy towarzyszki Zosi zbiegły się na około i zazdrościły jéj szczęścia, ona płakała i zazdrościła im, że zostaną w klasztorze.

Na trzeci dzień rano stary sługa hrabiny przyszedł po Zosię. Trzeba było wyjść z klasztoru, bo tak kazano — nie było ratunku. Panna matka napominała ją, by była posłuszna i pracowita, by się starała przypodobać pani hrabinie, bo to wielka pani a dobra i litościwa — może z czasem zapewnić jéj los i szczęście; potém oddała ją słudze hrabiny i Zosia ze łzami w oczach z małym zwiniątkiem pod pachą szła smutna do nowéj siedziby. Gdy przyszła do pałacu, przepych i bogactwa uderzyły biedną sierotę; zapomniała łez w oczach swoich i smutku w ucisnioném sercu, i przypatrywała się wszystkiemu z całą duszą swoją. — Pani przyjęła ją łaskawie; kazała zaraz uszyć jéj inne suknie i oddała do pokoju panien służących. Te oglądały ją od stóp do głów, szeptały coś między sobą, śmiały się; dziewczę stało zawstydzone i żałowało swojego klasztoru. Panny służące pytały jéj, co umie, co robić potrafi; — Zosia zapomniała słów w ustach, nie umiała odpowiedzieć. — W kilka dni była trochę śmielsza. — Panny służące popychały nią, wołały, burczały. — Zosia płakała — chciałaby się wrócić do klasztoru, lecz cóż robić? — musiała cierpieć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*Listy ajenta saskiego *)*

podczas bezkrólewia po Auguście III. i początku panowania Stanisława Augusta.

I.

Warszawa, 12. Listopada 1763.

Ucieszył mnie pański list z d. 6. b. m. — Proszę oświadczyć moje uszanowanie panu hrabiemu, który moją gorliwość wprowadził na właściwe stanowisko. Z wielką pociechą donoszę w sposób polecony nowiny tutejsze, będąc przekonanym, że moje listy dostaną się w dobre ręce. Mam tu dosyć przyjaciół, pochlebiam więc sobie, że zaspokoję jego ciekawość. — Co się tycze zabiegów pokątnych, te wywledz do światła, jest zagadnieniem nad moje siły. Przystępuję już do rzeczy. Wojewoda ruski, książę Czartoryski, wyprawiał dziewiątego sute imieniny. Familia **) odbierała powinszowania swoich stronników; wszyscy byli en grand gala. Familia nie tai się ze swémi górnémi zamiarami. Jednakże mamy tu spokoj zadziwiający; wszyscy mówią, że nawet na długo. Z tego powodu wielu ludzi znaczenia wnosi nawet, że nie będzie trudności w utrzymaniu domu saskiego przy królestwie. — Słychać przytém, że kanclerz książę Czartoryski nie zupełnie zdrów. Jeżeliby tak było w istocie, wtedy sprawy bez wątpienia wzięłyby daleko przyjaźniejszy kierunek dla rzeczonego domu. Jenerał Mokronowski mówił wczoraj, że podług listów hetman Branicki przyjedzie w poniedziałek; że narady senatu będą wstrzymane na tydzień, że sejm konwokacyjny zacznie się na nowy rok, i jeżeli okoliczności się nie zmienią, będzie można przystąpić do elekcyi przed upływem sześciu miesięcy. Chciałbym widzieć dowody na łatwość w tak ważnéj sprawie, a w tak krótkim czasie; bośmy widzieli w Piotrkowie, gdzie podług niego, Czartoryscy do popierania wyboru swego marszałka mieli tylko kilka tysięcy Tatarów z chołotą szlachty najemnéj; przeciwne zaś stronnictwo składało się z wyboru szlachty najbogatszéj i najlepszéj sławy.

*) Sądzimy, że nie od rzeczy ogłosić niniejsze listy właśnie teraz, kiedy wychodzą pisma, mające na celu tylko krzywienie owczesnéj historyi. Jakie do tego prawo? mianowicie, czyli bronienie sławy kilku spróchniałych faciendarzy politycznych, czyli też poparcie dziecinnych urojeń służby przedpokojowéj, trudno jeszcze odgadnąć. Lubo listy te pisane przez przeciwnika Czatoryskich i Stanisława Augusta, przecież zbyt zimno i za wyraźne fakta podają, aby je prostym zarzutem kłamstwa obalić można. Żądano dowodów na twierdzenia nasze; część więc ich ogłaszamy.

Redakcya.

**) Wyraz ten znaczy stronnictwo Czartoryskich, a tu naczelników stronnictwa.

II.

Warszawa, 16. Listopada 1763.

Wiesz pan zapewne tak dobrze, jak ja, że Czartoryscy nie myślą wcale o najmniejszém osłabieniu życzliwych uczuć, jakie im okazywano z Petersburga i Berlina. Wielu panów pochlebia sobie, że wkrótce obadwa mocarstwa zmienią swój system. Wielu dodaje, że lada dzień dwór saski przyśle tu jako ministra pana Nostiz przed prostém ogłoszeniem śmierci króla, którego już się zaczyna obchod pogrzebowy. — Że Francya pokaże się na stronie Elektora, to nie zrobi wielkiego wrażenia na familią, która zaopatrzona we wszelkie sposoby, i oparta na mocarstwach zwycięzkich, a sąsiednich myśli, że może bezkarnie walczyć przeciw książęciu oddalonemu i osłabionemu. Życzyłbym z całego serca, ażeby rzeczy lepiéj się udały, jak można wnosić ze wszelkich okoliczności; lecz pomimo pięknych obietnic, które się dają wzajemnie, przyjaciele najgorliwsi domu królewskiego nie śmią o niczém mówić bez ostróżności i bez rezygnacyi śmiertelnie trapiącéj.

III.

Warszawa, 26. Grudnia 1763.

Po śmierci elektora saskiego mówią wszędzie, że stolnik Poniatowski zostanie królem. Jego brat, podkomorzy koronny, pytał się raz półkownika Bronikowskiego we względzie sprzeczki, którą tenże miał ze stolnikiem o kilku dezerterów, czyli on jeszcze powątpiewa, że jego brat będzie królem? i czyli, przyjmując to za pewne, cudzoziemiec może sprzeciwiać się przyjęciu dezerterów, którzy sami do niego przychodzą, zwłaszcza, że nie było wcale układu między ich dawnym panem a nim? Co do pana ***, którego żona stroi już minę, dajemy baczność, o ile tylko okoliczności pozwalają. Wreszcie piękna dla mnie pora już przeminęła. W kąt na nowo poszedłem. Nie mogę już chodzić, dokąd mi się podoba, bo jest bardzo daleko, należę do przeciwnego stronnictwa i mieliby mnie za szpiega, albo za coś blisko tego; nudzę się też rozmowami z ojcem i matką, nie widząc często młodzieży; wreszcie mnie tam szykanują. Nie miałem więc już żadnéj uciechy, jak przed wyjazdem moim do Błonia; ale cierpliwości! mogę mieć jeszcze w porze kwitnięcia. Niekiedy też się tu czas dłuży; pan dopomożesz mi go spędzać pisując często do mnie, a nawet nie mając nic do pisania. Pozdrów pan naszego przyjaciela; nie będę dziś pisał do niego, bo to, co tu donoszę, jużem mu także doniósł. Mój list do pana hrabiego pójdzie niezwłocznie. Jestem przyjacielem, jakim na zawsze pozostanę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Słówko o dążności i duchu poezyi polskiéj XVI. wieku.

Poezya polska, nosząc na sobie pierwotny swój słowiańsko-narodowy karakter, odznaczyła się w XVI. wieku osobnemi, sobie właściwemi znamionami, rozszerzywszy się znacznie, ale nie odstrzeliwszy daleko od ogniska, w którém się pierwotnie skupiły jéj promienie. Była liryczno-opisową, utkaną z historycznego i satyrycznego wątku. W himnach i elegij do najwyższéj, na jaką się wiek ten mógł zdobyć, wzniósłszy się doskonałości, krążyła około ojczystych pamiątek; bo narodowość głównym była przedmiotem, który owczesni poeci nasi najwięcéj opisywali. Nie czczą więc zabawką, lecz odgłosem narodowych uczuć będąc już wtedy poezya polska, stała się głównym tłómaczem moralnego usposobienia narodu, w takiéj zawsze pokazując się postaci, w jakiéj się ukazywało i narodowe życie.

Religijném li uczuciem oddychając naprzód liryczna poezya polska, pobratała się wkrótce z moralną, czyli obyczajową, przybraną w szatę satyry i apologu, a pożyczywszy jéj świetnego swego stroju, byłaby mogła okazałym przyodziać blaskiem światowe nasze pienia, gdyby już w ów czas polscy poeci umieli byli narodowe, gminne i historyczne pieśni z poziomu sielskich uczuć wywieść na szczyt liryki wieszczéj, podnieść je mocą sztuki i wyższém natchnąć życiem, i gdyby byli potrafili układać ich wątek, podług ducha i humoru (skłonności umysłowéj) narodowego. Ale mali w wewnętrznéj i zewnętrznéj poezyi, czyli nie oryginalni w myślach i składzie wiersza, nie byli jeszcze w stanie samodzielnie wielkich dzieł tworzyć. Umieli tylko drobne stwarzać robotki; naśladować, i jakkolwiek na język polski obce przenosić wzory, czując ich piękność, a jednakże jéj nie mogąc oddać w ojczystéj mowie. Wprawdzie wiersze Reja moralne, Klonowicza o obyczajności pienia, tudzież rymy Jana Kochanowskiego świadczą o tém, że ci wierszopisowie czuli dobrze, jak należy dla Polaków pisać, że usiłowali bystrym potokiem płynące w swych sercach myśli wylać na papier i pozbyć się ciężaru, który ogromem brzemienia swego tłoczył im piersi, na koniec, że umieli harmonijne układać rymy; atoli pod względem narodowego uważani ducha, nie sprostali oni nawet karczemnemu skrzypkowi, który za natchnieniem serca i za słuchem delikatnego ucha idąc, lepiéj umiał z sielskiéj noty wybrać narodową piosenkę, aniżeli oni z wątku gminnéj pieśni nadobną tak ułożyć całość, żebyś na wystawionym obrazie rozpoznał łatwo i myśl i barwę przedmiotu, w narodowéj wystawionego postaci. A jak tamten wrzaskliwością prostych skrzypiców, tylko wtedy nielitościwie raził ucho, kiedy wyżéj sięgał nad głos sielskiego pienia, tak i ci cklili serce słuchacza, gdy albo z włoska piskliwie jęcząc i wdzięcząc, polskie opiewali przedmioty, albo po prostu rzeczy wystawiając, nie wskazywali narodowi, jak ma z przepisami sztuki zgodnie pojmować i piśmiennie obrabiać narodowe swe życie. Nie podołali też owcześni poeci wydobyć z siebie mogącego ich ożywić zapału, bo nie mogli przejąć się przedmiotem, i nie umieli wchodzić w najdrobniejsze jego szczegóły; a z pojedyńczych maleńkich cząstek wielką jego utworzyć całość. W małéj, bo najmniejszéj nawet przestrzeni, zamknięta przedmiotu całość, przemówi do serca, jeżeli z osnowy rzeczy te właśnie szczegóły zdoła poeta wywieść na jaw, które dają wmyśleć się w rzecz i ducha jéj odgadnąć.

Ubóstwo umysłowego usposobienia swego chcąc pokryć poeci nasi, popstrzyli swe płody pożyczanemi od innych ozdobami, i jak zubożały dłużnik wystawnością życia zwykł swoich oszukiwać wierzycieli, tak i oni oszukiwali swój wiek, uczyniwszy to, że mu się podobały piękne owe z obcéj poezyi pokradzione płatki, że ciećkał się z niemi i na jednéj kładł szali rymopisów naszych z największemi gieniuszami starożytnego i nowo-żytnego świata. Czas wykrył prawdę i przekonał o tém, że łatwość zostania u nas poetą, dała zgubny popęd całemu niemal narodowi, tak iż układać wiersze, a być uczonym, jedno u nas znaczyło w długie czasy *). Mylnie powiedział ksiądz biskup Woronicz **), że panowanie Zygmunta III. za prawdziwy kres rozplemienienia się naszych poetów naznaczyć można; od wieków bowiem było już u nas pełno wierszy i wierszokletów, poetów zawsze mieliśmy mało.

Też same cechy, co poezya, nosiła na sobie polska muzyka i taniec, nieodstępne tamtéj towarzyszki, które wszakże prędzéj od niéj wydoskonaliły się; bo łatwiéj jest człowiekowi upiększyć i wydoskonalić powierzchowność ciała, niżeli serce swe i rozum ukształcić. Dla tego też taniec i muzyka polska prędzéj niż poezya stała się europejską, w nich naród nasz żyć będzie wiecznie, one przeciągną jego życie po za przeszłość, one zawsze umysłowość polską pięknie charakteryzować będą. Ziemie ruskie, Małopolskie i Mazowsze składały głównie te krainy obszernego naszego królestwa, które najwydatniejsze miały cechy poezyi

*) Ważne słowa Górnickiego w Dworzaninie str. 318. o Stanisławie Maciejowskim, kasztelanie sandomirskim.

**) W rocznikach towarzystwa II. str. 382.

narodowéj, tudzież tańca i muzyki. Trzy nadobne te sztuki łączyły się w jednéj ojczyznie polskiéj, ogniwem swojém nie tylko kraje przed jagiellońskiéj, ale i ziemie po jagiellońskiéj Polski spajając ściśle. Sielskie pienia, tudzież kozak i dumka, satyra, tudzież krakowiak i mazurek, charakteryzowały poezyą, taniec i muzykę ziem ruskich, Małopolski i Mazowska; a religijne pienia z tańcem polskim i właściwą muzyką, z pierwotnego swego siedliska, z Wielkopolski, po całém rozlawszy się królestwie, łączyły w jedno całą przestrzeń obszernéj Lechii pod względem sztuk nadobnych. Tkliwości i wdzięków nadobne te dzieci, muz i gracyów cory (jak starożytni mawiali Grecy) pielęgnował Polak od kolebki aż do grobu, mianowicie też w XVI. wieku, dopóki w XVII. wieku fanatyzm nie zakłócił naród i na chwilę nie przerwał tych przyjemnych zabaw.

W. A. Maciejowski.

Przegląd pism.

Powieści wielkopolskie, *przez R. W. Berwińskiego.* Tom I. W Wrocławiu. 1840.

(Dokończenie.)

Straszne ich kary.

Wzdyć piękna Bogunka
W każdą noc dla nich przyzywa ratunka.
Kiedy dzień we mgłach zachodniowych pryśnie,
Zaszumi Gopło — srebrną falą pryśnie,
I wnet wypłynie z niego krasna dziewa;
Błade ma liczko, pijanką się odziewa;
Dwie łzy ma w oku, jak dwie deszcza krople,
Abo dwie gwiazdy utopione w Gople,
I ząbki u niéj — jak pereł dwa rzędy
Skryte pod różą, ni ponętne wędy,
Wzdyć nie na pstrągi, ani na szczupaki,
Ale na młode gopłańskie rybaki.
Ona tą wędą róż i pereł zdradnie,
Póty ich k' sobie i wabi i nęci,
Aż ich prędzistym wirem nie zakręci
I mokrą chustą nie okryje na dnie.
— — — — — — —
— — — — — — —
Straszne to czary!... wzdyć wiedzieć wam trzeba,
Że samobójcom trudno jest do nieba;
A wzdyć Bogunka z gopłańskiéj topieli,
Usłała sobie wiekuiste łoże,
I przeto dzisiaj na mokréj pościeli
Spocząć nie może i zasnąć nie może,
I pierw nie zaśnie, aż krwi troja braci
Troistym mirem kłosiak nie zapłaci,
Póty też bracia — biada naszéj ziemi,
Płon z niéj nie wzrośnie, siew się nie rozplemi,
A w jednym domu — w pokrewnéj rodzinie
I dziś i jutro krew bratnia popłynie.

Tu Bojan urwał pieśń swoją; — i w krótce potém nie było go już wśród drużyny, która ruszyła daléj w milczeniu. Przyjechali na zamek; księcia nie było. — Kirylo sam został w starym grodzie, aż i on jednego wieczora »zadał się w prawo prosto ku jezioru« i więcéj nie wrócił. Służba się powoli wynosiła. — Gedko, stary sługa, wszystkim otwierał aż do ostatniego, a kiedy już nie było kogo pilnować, sam wyszedł z zamku, zatrząsł wrzeciądze pewnie z dawnego nałogu i o żebranym chlebie chodził po świecie.

A zamek stał pusty i niemy, — stał długo; dziś nie z niego nie pozostało, tylko sklepy i lochy podziemne, w których nieprzeliczone skarby Sokoła ukryte.

Wieczorni wędrowce słyszeli już nieraz trąbkę grającą po lesie, — psów szczekanie i tętent końskiego kopyta. — Niektórzy twierdzą nawet, że widzieli jeźdzca na karym koniu. Koniowi pono strumienie ognia z chrapy pryskały.

Tyle wyjątków z téj powieści mogących dać przynajmniéj ogólne wyobrażenie o całości jéj. — Następujący epilog do wieży kruszwickiéj jest tak piękny, że tylko względy konieczne, które nam nie dozwalały jaśniejszego dać przeglądu Bogunki, mogły nas wstrzymać od nieumieszczenia go w piśmie naszém. — Następują przypiski, z których widać erudycyą młodego autora. Powieść o dwunastu rozbójnikach kończy tom ten; znana ona jest czytelnikom z tomu pierwszego pisma naszego.

Życzymy, aby autor w krótce nas nowym tomem powieści udarował, i jesteśmy przekonani, iż pochwały, które pierwszemu tomowi jego dzieła oddają wszyscy, zachęcą go do dalszéj pracy, do wydoskonalenia się w przedsięwziętym tak wzniosłym zawodzie.

Późniéj, mówiąc w ogólności o literaturze w prowincyi naszéj, raz jeszcze o piśmie tém wspomniemy.

Doniesienia literackie.

W tych dniach doktoryzował się w Berlinie p. Marcelli Motty z Poznania; napisał rozprawę *»de bona dea«*, którą professorowie bardzo pochwalili. Przed nim doktoryzował się pan Szymański; pisał *»de familiae graecae natura«*, a zaraz po nim pan Kramarkiewicz pisał *»de Amenorrhoea.«*

Pan Czaykowski powrócił z Włoch do Paryża. — Jego wajnowsza powieść »Koczowata« już do druku przygotowaną. Wyjątki z niéj umieścimy w najbliższych numerach.

W księgarni Behra w Berlinie wyszło ważne dziełko: Torquata Tassa »Amyntas«, komedya pasterska, przełożona na język ojczysty przez nieznajomego autora, wydana z rękopismu przez Franciszka K. Nowakowskiego. O dziełku tém obszerniejsze sprawozdanie w następnych numerach udzielimy. — W téjże bardzo czynnéj i o literaturę polską zasłużonéj księgarni wyjdzie wkrótce »Jocoserya, abo poważne ludzi mądrych pisma i powieści z różnych authorów zebrane i przepisane w roku 1630.«, wydane z rękop. biblioteki król. berlińskiéj, także przez pana Nowakowskiego. W piśmie tém język podobno czysty, ale same nieczystości miłosne.

Jenerał Umiński wygotował do druku w języku niemieckim odpowiedź na dzieło Schmidta o wojnie w r. 1831.

W Londynie wydał pan Gnorowski powieść historyczną pod nazwą: *»Stanislaus of Cracow«*; tamże wyszedł memoryał: *»On the recent occurences of Cracow and the present position of that republic.«* — Przedrukowany jest z No. 20. pisma: *Britsch and Foreing Review.*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami W. *Deckera i Spółki.*